

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marji Starczewskiej.

TOM I

13

— Zobaczyłem cię przed chwilą w samochodzie na St. James Street, inaczej nie byłbym przyszedł tak późno — rzekł Armine. — Może chcesz zaraz się położyć, jeżeli tak, powiedz prawdę, a wychodzę.

— Nie mam tego zamiaru. Byłem na obiedzie w mieście i chciałem teraz czytać. Czy dlatego trzymasz swój kapelusz?

— Dla okazania mojej dobrej woli. Dobrze.

Położył płaszcz i kapelusz na krześle.

— Może kazać ci coś podać?

— Nie, dziękuję — i Nigel siadł w fotelu. — Tak mało cię widziałem, Iseacson, a już wyjeżdżam!

— Już masz tego dość?

— Więcej, niż dość!

Iseacson siedział przy stole, na którym leżały książki. Od czasu do czasu dotykał się swoimi cienkimi, długimi palcami to jednej, to drugiej, podnosił okładkę i machinalnie zamykał.

— Wrócisz w jesieni?

— Na kilka dni, w przejeździe. Jadę do Egiptu.

— Zazdroszczę ci — zazdroszczę.

Patrząc na jasną urodę Nigla, myślał o swej śniadości i zdawało mu się, że to on powinien jechać do słońca, a Nigel ma pozostać w kraju, gdzie światło blade. Może coś podobnego przyszło na myśl Armine'owi, gdyż powiedział:

— Powinieneś tam przyjechać, będziesz na swoim właściwym miejscu. Czy byłeś tam kiedy?

— Nigdy, ale często tego pragnąłem.

— Dlaczego więc nie pojechałeś!

Iseacson zadał sam sobie to pytanie i jego żydowszczyzna dała odpowiedź. Zbierał pieniądze w Londynie, i każdy dzień poza tem mianem był stratą pewnej sumy pieniędzy.

— Powinieneś sobie zrobić wakacje i pojechać do Egiptu.

— Czy tej zimy? — spytał Iseacson, podnosząc okładkę książki. Jego ciemne, błyszczące, prawie za inteligentne oczy spojrzały na Nigla i odwróciły się w stronę.

— Nie, tej zimy nie, — dodał spokojnie.

— Ale — dlaczego nie tej zimy? — spytał Nigel lekko zmieszany.

— Nie będę mógł, mam za dużo pracy. Będziesz w Fayum?

Nigel patrzył na wschodni dywan, jego silne dłonie opierały się mocno o poręcz fotelu.

— Będę tam — odrzekł.

— I będziesz mieszkał w namiocie? Ostatniego wieczoru spotkałem jednego pana, który cię zna, egipski oficer na urlopie, Verreker — mówił, że wydarłeś pustyni spory kawał.

— Chciałbym wyrzeć o wiele więcej, niż to jest w mej mocy. To dobrze zadanie.

— Ciężka praca.

— Wściekle ciężka. Dlatego ją lubię.

— Tak, wiem, to ludzkie uczucie, zamilowanie do pokonywania trudności.

— Czy tak? co prawda, nie bardzo dbam o to, co mnie pobudza do czynu. Ale Iseacson, mnie się czasem wydaje, że sięgasz wzrokiem daleko — prawie nieludzko daleko.

Pochylił się naprzód.

— Ale u ciebie, to mi nic nie szkodzi.

— Nie powiem, żebym był tego zdania. Ale dlaczego to miałoby ci szkodzić w kim innym?

Nigel powtórzył mu słowa Mrs. Chepstow, lecz Iseacson nie wiedział, że je powtarza.

— Czy rozum nie ma skłonności do zaćmienia, zagłuszania serca? — rzekł — czy nie bywa czasem arogackim w swej sile?

— Każde z nich powinno mieć swoją część — rzekł Iseacson, uśmiechając się ze wzrotem, który tak mało stosował się do niego, a tak bardzo do Nigla.

— Tak, i wierzę temu, że tak czynisz. A to dlaczego — ale wracajmy do tego, o czemśmy mówili. Sięgasz wzrokiem daleko. Żyjąc, jak ty, w Londynie, czy nie myślisz, że mężczyźni i kobiety, stanowiący tłum, nie wychodzą poza granicę prawdy i życzliwości? Czy może myślisz, że będąc razem, stłoczeni jedni na drugich, jak żołnierze, idący w szeregu, stają się

często twardymi, brutalnymi, prawie, że nawet krwiożerczymi?

Iseacson przez chwilę nie odpowiadał.

— Być może, że czasem tak bywa — rzekł w końcu.

— I czy nie myślisz, że pożądają ofiary?

— Tak!

— Może być — czasami.

— Dlaczego nigdy nie odwiedziłeś Mrs. Chepstow?

Cienkie palce zaczęły znowu bawić się okładką książki, ale zawsze wolno i spokojnie.

— Nie mam czasu widywać kogolwiek oprócz moich pacjentów, i osób spotykanych w towarzystwie.

— I naturalnie, nigdy nie spotkałeś sam Mrs. Chepstow?

— No nie, jej się nie spotyka.

— Byłaby rada, gdybyś ją odwiedził, jest bardzo samotna.

— Czy tak?

— Czy jeszcze długo pozostaniesz w Londynie?

— Do dwunastego lub piętnastego sierpnia.

— Ona także zostaje.

— Mrs. Chepstow, w czasie kanikuły?

— Zdaje mi się, że nie ma gdzie pojechać.

— Oh!

Iseacson otworzył jedną z książek, i położył machinalnie rękę na stronicy. Była to książka, traktująca o trucznicach i ich leczeniu.

— Słuchaj, Iseacson, nie jesteś przecie krwiożerczym!

— Mam nadzieję i myślę, że nie.

— Wierzę, że nienawidzisz tego, jak i ja, przeklinasz z całej duszy. Zawsze czułem, że jesteś samodzielny w swych myślach, i nie troszczysz się ani trochę o to, co świat myśli. Zaszedłem dziś tak późno, żeby się pożegnać i prosić, jeżeli znajdziesz czas, żebyś odwiedzał od czasu do czasu Mrs. Chepstow. Wiem, że będzie rada z twych odwiedzin, jest jak strasznie samotna. Nie znudzi cię, to kobieta rozumna, interesująca się rzeczami, które i ciebie zajmują. Czy zajrzysz czasem do niej?

Iseacson podniósł rękę z nad książki.

— Pójdę do niej — rzekł.

— Dobrze.

— Lecz czy jesteś pewny, że sobie tego życzy?

— Zupełnie pewny, sama mi to powiedziała.

Prostota tej odpowiedzi wywołała uśmiech a zarazem westchnienie u Iseacsona.

— Muszę jechać na wieś — rzekł Nigel — odwiedzić Herwich'a i Zoe, moją bratową, a także moją zamezną siostrę.

Wyraz troski błysnął w jego oczach. Podniósł się z fotelu, wyraz ten pozostał.

— Dobranoc, Iseacson, stary przyjacielu!

Uściskał silnie i gorąco rękę doktora.

— Dobranoc, rad jestem, że znam tak samodzielnie myślącego jak ty. Do widzenia.

Wyraz troski ustąpił, i jego szczere, błyszczące oczy, jaśniały znowu siłą i odwagą.

— Do widzenia.

Po wyjściu Nigla Iseacson stał długą chwilę przy kominku, bez ruchu, zamyślony. Uderzenie zegara ocknęło go. Podniósł głowę, spojrzał w okno, i chciał zgasić światło, lecz spostrzegł otwartą książkę na stole, podszedł, żeby ją zamknąć: „powinno się nie zapominać, że digitalis jest trucizną, działającą przy częstym używaniu. Ta sama dawka, zażyta raz, jest nieszkodliwą, lecz zażywana często, staje się śmiertelną. Ta właściwość jest wspólną wszystkim truczynom, działającym na serce”

Stał, patrząc na kartkę.

„Ta właściwość jest wspólną wszystkim truczynom, działającym na serce”.

Poruszył głowę, jakby potakując, zamknął z wolna książkę i światło zgasił.

Pewnego sierpniowego dnia Iseacson wybrał się do Mrs. Chepstow. Upał był nieznośny, ulice prawie puste. Tu i ówdzie ludzie dziwacznie ubrani, stali gromadką, przypatrującą się powiększonemu ze zdziwienia oczami miastu, tak, jak Londyńczycy w tej porze przypatrywali się z równym zdziwieniem łąkom i lasom. Stójkowi stali ocieźali i zmęczeni; papiery wały się po trociarach, poruszane podmuchem gorącego wiatru, który chwilami się zrywał i opadał. Kartarynka wygrywała „La Manola”, wskrzeszoną po wielu latach. Londyn był w najsmutniejszej letniej fazie.

Czy Mrs. Chepstow mogła się w nim znajdować?

W przedsionku Savoy-Hotel Iseacson dowiedział się od ociężałego portyera, że jest w domu. Niechże i tak będzie. Wszedł do windy i poszedł ze służącym, który go zaprowadził do jej drzwi. Doszedłszy tam, służący zastukał. Nie było odpowiedzi, zastukał powtórnie głośnie, podczas gdy doktor czekał, stojąc za nim.

— Proszę — odezwał się głos z wewnątrz.

Służący otworzył drzwi, anonsując:

— Doktor Meyer Iseacson.

Prawdopodobnie Mrs. Chepstow musiała siedzieć na balkonie, gdyż jak Iseacson wszedł, stała w drzwiach, obok biurka, na balkonie stał fotelik.

— Doktor Meyer Iseacson — zawołała ze zdziwieniem.

Służący wyszedł i zamknął drzwi.

— Co za niespodzianka!

— Ależ — dlaczego, Mrs. Chepstow?

Podał jej rękę, i kiedy dotknął jej dłoni, przypomniał sobie, jak badał jej puls w swym konsultacyjnym gabinecie, uczucie którego doznał wtedy, doznał i teraz, może jeszcze silniejsze.

— Dlaczego? Bo to sezon ogórkowy, a pan u mnie nigdy nie był. Ale à propos, jaki pan domyślny, że pan wiedział o moim pobycie w Londynie, kiedy wszyscy z niego wyjechali.

— Nawet mężczyźni miewają intuicję.

— Czy ja tego nie wiem własnym kosztem? Lecz dzisiaj, błogosławie tę męską intuicję. Gdzie pan usiadzie?

— Gdziekolwiek.

— A zatem, proszę tutaj.

Usiadł na sofce, ona zaś na krześle, naprzeciw światła. Była bez kapelusza. Iseacson zapytywał się, co ona porabia cały tydzień, i dlaczego pozostała w Londynie. Że miała w tem jakiś określony cel, wiedział na pewno. Gdy oczy ich się spotkały, uczuł silny wstręt, który pokrył. Zauważył jednak, że Mrs. Chepstow wygląda mniej zwiędle, młodszą, piękniejszą, niż za ich ostatnim spotkaniem. Ubrana było skromnie. Zdawało mu się, że kolor jej włosów inny, trochę jaśniejszy, lecz nie był tego pewien. Natomiast był pewny, że jakieś ciepło, jakby nadziei, przeniknęło subtelnie całą jej osobę. A wyglądała ostro, zimna, prawie beznadziejna, wtedy, kiedy do niego przyszła.

Kobieta odczuwa, co o niej myśli mężczyzna, i Mrs. Chepstow odczuła w tej chwili, że Iseacson znajduje ją odmłodzoną i piękniejszą; próżność się zbudziła, podniosła jej wiarę we własnych oczach, i dała jej do myślenia, że może go pociągnąć. Nie starała się o to za pierwszym razem, jak go widziała, lecz teraz widział ją, przeglądającą swą zbrojownię, dla wybrania broni, którą go uderzy.

Iseacson zaczynał rozumieć, dlaczego siedzi tak spokojnie naprzeciw światła. Taki człowiek, jak Nigel, nie mógłby nigdy tak się zbliżyć do Mrs. Chepstow, jak doktor Meyer Iseacson, mimo, że Nigel był w niej zakochany, a Iseacson zaczynał ją nienawidzić. Lecz w tej chwili, nie tyle nienawidził jej, jak swą własną przenikliwość.

— Co pana zatrzymało w tem okropnem mieście, doktorze Iseacson? — pytała — myślałam, że sama w niem pozostałam.

— Ludzie myślą zawsze, że są chorzy.

— A pan im zawsze mówi, że nie.

— To zależy.

— Myślałam, że pan zaadoptował tę ideę, jako metodę leczniczą; i rzeczywiście może być w tem coś prawdziwego. Wyobrażałam sobie, że jestem chorą, pan mi powiedział, że nie. Od tego dnia coś — pański wpływ, przypuszczam — uczyniło mnie zdrową. Wierzę w pana, jako lekarza.

— Dlaczego popsuć coś, koficowem zastrzeżeniem?

Oh! pański zawód, to pan.

— Pani myśli, że pozbyłem się człowieczeństwa dla ambicji?

— Pan jest w mieście w czasie ogórkowego sezonu!

— W mieście, żeby panią odwiedzić!

— Pan był tak pewny, że mnie znajdzie? — rzuciła na niego drwiące spojrzenie. — Ale na seryo — ciągnęła dalej, — czy namiętność do nauki nie panuje w panu ponad wszystko? Do nauki i do — tego, co nauka przynosi?

(Ciąg dalszy nastąpi).